

Santlite 75

(historia nr 1.07 w serii książek Aimeiz, aimeiz.pl)

W 2131 roku na obrzeżach Nowego Chicago w Illinois stanęła największa hala produkcyjna w Ameryce. W jej środku miał zostać skonstruowany okręt flagowy Floty, duma Zjednoczonych Narodów, ostrze i tarcza ludzkości: SS „Santlite 75”. Do jego budowy ściągnięto setki naukowców i specjalistów, zaprzęgnięto dziesiątki tysięcy robotników, sprowadzono najlepsze materiały, sprzęt i technologię. Zrobiono wszystko, by ostatni i zarazem najpotężniejszy projekt na Ziemi stał się na żywo wykuwaną legendą odwagi i woli przetrwania cywilizacji człowieka. Zarządcą, pomysłodawcą i architektem tego gargantuicznego dzieła był Erin Anders, geniusz w swojej specjalności i jedyny na świecie tak doświadczony budowniczy okrętów, dla którego „Santlite 75” stanowił *opus vitae*. W rękach złożone mu zostały: nadzieja na przetrwanie wszystkich istot żywych i wspólna wiara ludzkości w świetlaną przyszłość. Były to rzeczy tak cenne, tak niezbędne, że każda jego decyzja, słowo, gest i oddech trafiały pod dyskusję członków MRRG i wracały z długą listą adnotacji.

Cztery dni przed egzekucją

Główną przestrzeń do pracy w hali nazywano zatoką. Każdego dnia, w trybie trzymianowym, pracowało tu kilkanaście tysięcy ludzi, specjalnie wyselekcjonowanych i na bieżąco kontrolowanych, by zminimalizować ryzyko opóźnień w budowie. Ubrani na białe, krzatali się według powtarzanych co dzień schematów. Nad nimi, na pierwszym piętrze, pozamykani w małych biurach o sprawną realizację planów walczyli technicy i wszelacy specjaliści. Nosząc dumnie niebieskie kombinezony, próbowali skrawać nierealne założenia do fizycznie wykonywalnych form. Wyżej, na drugim piętrze, kierownicy projektu w czerwonych strojach dbali, by absurdalnych wymagań nigdy nie brakowało. Na samej górze, na trzecim poziomie, mieszkał i pracował Erin Anders razem z dwunastką swoich najważniejszych zarządców. Oni dla odmiany nie mieli wyznaczonych kolorów i mogli nosić dowolne ubrania, choć było to bez znaczenia, gdyż nikt z nich nie opuszczał nigdy hali. Za to do dyspozycji oddano im basen z sauną, siłownię, a nawet minikino. Erin rzadko jednak z nich korzystał. Jeśli nie prowadził spotkań strategicznych, spędzał czas, ręcznie rysując plany kolejnych pokładów lub osobiście doglądając budowy, przechadzając się po wszystkich poziomach między mrówczą pracą tysięcy ludzi. Oddany projektowi, w pełni nim pochłonięty, od dzieciństwa marzył, by stworzyć najpotężniejszy okręt świata. Niektórzy nawet porównywali go zapałem i zaangażowaniem do Nihama Santego, ale on doskonale wiedział, że jest zupełnie innym człowiekiem.

Potrafił obiektywnie na siebie spojrzeć i rozumiał, że powołanie do tej pracy jest równocześnie jego ograniczeniem. Nie umiał robić nic innego, nie posiadał dodatkowych zdolności, nie potrafił odnaleźć się w społeczeństwie Wielkiego Planu. W gruncie rzeczy był szczęśliwy, że zamknięty w hali, jak w złotej klatce, może spełniać młodzieńcze marzenia. Miał sześćdziesiąt pięć lat, jedno zainteresowanie i na szczęście wciąż bystre zmysły, znacznie dla niego ważniejsze niż białe na głowie włosy. Siwizna nie spędzała mu snu z pomarszczonych powiek, tak jak wysuszone i popękane policzki, które w dotyku przypominały korę drzew kołyszących się w odległych wspomnieniach jego rodzinnego domu. W oczach odbijał mglistą aurę szarego, zimowego poranka, podkreślonego zaspami śnieżnych i bujnych brwi. Każdego dnia narzekał na strzelające kości i bolące mięśnie, ale o biomechanizmach czy zabiegach odmładzających nie chciał słyszeć. Traktował starcze słabości jak kolejne wyzwanie i świadectwo solidarności z milionami innych osób przed nim, które bez wspomaganego dożywały długich lat.

Jak każdego wieczoru dziś też dwunastka zarządców Erina spotkała się na odkrytym tarasie widokowym hali. Wśród nich byli sami mężczyźni w różnym wieku, o skrajnych poglądach, odmiennych specjalnościach i kontrastujących osobowościach. Wiecznie przez to wzniewali zarzewia konfliktów, jakich Erin nie potrafił gasić i w zasadzie nie chciał. Sam rzadko brał udział w dyskusjach, bo wolał słuchać i wyciągać jedynie sobie dostępne wnioski.

Jak zawsze usiadł w fotelu przy samej krawędzi tarasu, odcięty od reszty, tylko kątem oka zerkając na bezmyślnie walczących zarządców. Ubrani w krótkie koszulki i spodenki, których kolory i kroje klóciły się bardziej niż oni sami, mężczyźni popijali piwo, spoglądając co chwilę w stronę pobliskiego

jeziora. Odbite od księżycy promienie tańczyły wszystkimi kolorami na powierzchni toksycznej tafli. Konstruowane przez nich argumenty rozgrzewały i schładzały dyskusję w parabolicznych cyklach, a śmiech wypełniał szczeliny między jedną ostrą wymianą zdań a drugą. Tacy byli główni zarządcy, niezwykle inteligentni indywidualiści, geniusze w swoich dziedzinach i ludzie z personalnymi problemami, których echo pobrzmiwało w wiecznie odżywiających konfliktach.

Erin cierpliwie czekał na ciszę, z reguły nasyconą niewypowiedzianym dysonansem poglądów, by przedstawić swój najnowszy pomysł. Nigdy nie wchodził w słowo ani nie przerywał dyskusji, bo uważał to za niegrzeczne.

– Chcę wprowadzić na „Santlite” windy magnetyczne – ogłosił w jednej z przerw w rozmowie.

Jak na dźwięk syreny alarmowej z fotela wyskoczył Solom Gatsbil, jeden z najbliższych przyjaciół Erina i jego prawa ręka.

– Poważnie?! Przecież tę technologię cudem udało się wdrożyć w miastach, a ty chcesz ją umieścić na okręcie? – zapytał w imieniu całego zespołu, który nagle wyrósł za nim murem, zjednoczony w obliczu niewykonalnego zadania.

– Ja nawet nie wiem, jak oni to zrobili, że te windy działają – wtrącił następny zarządca.

– Może w miastach implementacja tego rozwiązania miała sens – przekonywał Salin, trzydziestojednoletni członek zespołu pochodzący z Europy Wschodniej – ale na „Santlite” tylko utrudnimy sobie zadanie – powiedział, zbierając aprobatę towarzyszy. – Co najwyżej skrócimy czas podróży o kilkanaście sekund. Nie warto.

– Te kilkanaście sekund może kiedyś uratować życie wielu oficerom Floty – stwierdził Erin, zdziwiony błyskawicznie zbudowanym murem sprzeciwu.

– Ale jak my to wdrożymy? Przecież nie skopujemy miejskiej sieci – kolejny zarządca włączył się do dyskusji. Hindelan Stormfendel, specjalista w dziedzinie materiałów promieniochłonnych, masywną sylwetką wyrósł ponad zespół. – Ta technologia nie była nigdy ujawniona, a do tego chyba wszystkie windy zostały rozebrane, więc nawet nie mamy skąd wziąć wzorca – przekonywał.

– Wzorec udostępnia nam MRRG. Mają wszystkie plany – odpowiadał Erin.

– Przecież to technologia pozaziemska. Ja bym jej nie montował na okręcie – odezwał się Stavros, najmłodszy z zarządców i główny programista projektu.

– Znowu szerzysz te teorie? – odparł mu, jak echo, nieco starszy Mikas. Na okręcie obsługiwał instalacje Tyranitu i wyjątkowo nie lubił arogancji, tępiąc ją na każdym kroku i przy tym wywołując regularne sprzeczki. – Nikt już nie chce słuchać tych głupot – dodał, a szum cichych rozmów wypełnił przestrzeń tarasu znajdującego się dwieście metrów nad ziemią, gdzie apatia i zmęczenie kładły do snu kolejną zmianę pracowników hali.

Miasto zasypiało w mroku nocy i nadchodzących koszmarów płynących z jeziora Michigan. Niedyś piękne i czyste, teraz było toksycznym zbiornikiem odpadów powstającej Floty. Opary tego holokaustu natury drapały ściany hali, ale nie docierały do zarządców rozsadzonych wygodnie w kolorowych fotelach na szczycie ich prywatnej wieży. Mężczyźni sączyli luksusowe alkohole, otuleni ciepłym i sztucznym światłem. W dyskusji próbowali utopić wyrzuty sumienia, uciekając spojrzeniami od panoramy gnijącego świata, dla którego byli latarnią nadziei, głównym frontem wojennym i kolebką odrodzenia.

– To tobie powinno zależeć, by tych wind nie montować, w końcu weszłyby w twoje kompetencje – prowokował współpracownika Stavros, brnąc w bagno utarczek słownych.

– W przeciwieństwie do ciebie nie boję się wyzwań – odpowiedział mu Mikas.

– Nie boisz się? A jeśli te windy to specjalnie zamaskowana broń, technologia, która udaje coś, czym nie jest?

– Nie wiem, skąd bierzesz te teorie, ale to bzdury.

– Bzdury? – parsknął Stavros, jak zmija sycząc pogardliwie i wielkimi oczyma pożerając mężczyznę. Wyrazem kościstej twarzy dawał mu jasno do zrozumienia, że darzy go tylko niechęcią. Miał bardzo krótko ścięte włosy, rysy przestępcy, wrogie nastawienie i wiecznie towarzyszącą mu aurę złych intencji, więc nawet gdy żartował, wywoływał kłótnie.

– Miałem okazję badać te windy – wtrącił Kaster, czterdziestotrzyletni zarządca infrastruktury komunikacyjnej – i muszę powiedzieć, że faktycznie nikt nie był w stanie wytłumaczyć, jak funkcjonują. Co nie znaczy, że jest to obca technologia. Możliwe że Sante po prostu odkrył coś, czego nie umiał wyjaśnić, za to potrafił wykorzystać.

– A czy my będziemy w stanie wykorzystać je na pokładzie „Santlite”? – zapytał Solom, pełniąc w grupie niefortunną funkcję pośrednika między idealizmem głównego zarządcy a realiami projektu.

– Mam już wszystko rozrysowane. Nie będzie problemu – krótko stwierdził Erin i dalej obserwował najciemniejszy punkt na horyzoncie, nawet nie spoglądając na rozczarowaną grupę. Siedział przy barierze tarasu, zwrócony ku tafli martwego jeziora, ignorując, być może celowo, podupadające morale zespołu.

Cichy szum niezadowolenia zapoczątkował wśród zarządców wielowątkową dyskusję szybko rozdmuchaną do widowiskowej bitwy na ogniste przemowy, chłodne szyderstwo, obrażone miny i sarkazm podszyty złośliwościami. Erin tylko słuchał, jak dowódca zdemoralizowanej armii, karmiąc obłąd marzeniami o niezrealizowanych jeszcze sukcesach przyszłości. Pół godziny później kłótnie samoczynnie ustały przerwane konsolidującym się poczuciem ich bezcelowości. Mężczyźni ruszyli do swoich pokojów. Na tarasie zostali tylko główny zarządca i jego najlepszy programista.

– Co chcesz? – zapytał Stavros i zawisł na przezroczystej barierze odgradzającej go od przepaści.

– Widzisz te pobłyskujące w równym rzędzie punkty? – zapytał Erin i pokazał je palcem.

– No, widzę.

– To bastiony. Wczoraj je rozstawili, wiesz po co?

– Bo podnieśli zagrożenie w skali Radiana? – zgadywał Stavros, nie wkładając w dylemat najmniejszego wysiłku.

– Oficjalnie tak, a nieoficjalnie mogą zrównać halę z ziemią jedną salwą z tej kompanii czołgów. Myślę, że to taki drobny dla nas bodziec do działania – zażartował Erin. – Mam dla ciebie zadanie – oświadczył, gdy tylko pogratulował sobie poczucia humoru. – Śmiało, siadaj – dodał, mierząc wzrokiem wychudzonego, niechlujnie ogolonego mężczyznę.

– Oby nic z windami – odparł Stavros i zwał się bezwiednie na czerwony fotel obok zarządcy.

– Nie, tym zajmę się ja, bez obaw. Chodzi o nowe skafandry dla całej Floty. Dostaliśmy zadanie ich przygotowania.

– Dla całej Floty?

– Tak, chcę, żebyśmy opracowali im uniwersalny wzór. Rozmawiałem już wstępnie z Kasterem i on zbuduje z zespołem powłokę, ale ty musisz przygotować oprogramowanie.

– Przecież wiesz, że siedzę w systemach sterujących i długo z nich nie wyjdę – narzekał Stavros, jak to miał w zwyczaju.

– Wiem, wiem, ale dasz radę. To zadanie ma priorytet, bo oni chcą jak najszybciej je wdrożyć.

– Oni, kto oni?

– No oni, MRRG – tłumaczył Erin, jak zwykle przytłoczony obowiązkiem zlecenia zadań, których przydzielanie sprawiało mu większy ból niż zwyrodnienie stawów.

– Może Anders?

– Kto? On? Nie, skąd – odpowiedział główny zarządca wyraźnie zakłopotany. – Jacyś dowódcy DARPA na polecenie MRRG. Zresztą nieważne kto. Dostaliśmy zadanie, musimy je wykonać – mówił skrótami, z tęsknotą w głosie do ciszy i spokoju, jakie znajdował ostatnio tylko w swoim biurze.

– Mamy chociaż jakąś specyfikację?

– Jutro ci ją dostarczą. Myślę, że dasz radę, w końcu tworzyłeś już oprogramowanie dla naszych służb specjalnych.

– Tak, tylko to były mundury dla żołnierzy na Ziemi, nieprzystosowane do kosmicznych warunków.

– Cholera, Stavros – Erin pękł irytacją. – Tu nie ma prostych zadań. Myślisz, że dlaczego ciebie wybrałem? Pomóż mi trochę.

– Spokojnie, nie narzekam. Tylko mówię, że będzie sporo roboty, ale damy radę.

– Świetnie.

– Zajadą nas tu, ale spoko – niepotrzebnie dodał Stavros, skrzępowany trudną komunikacją z przełożonym. Tak jak on, nie potrafił rozmawiać z ludźmi, więc razem tkwili w meandrach etykiety i płynności dialogu, niczym dzieci w piaskownicy.

– Świetnie, jutro dokładnie omówimy projekt. Pomyśl, jak chcesz rozłożyć go czasowo, i pogadaj z Kasterem, okay?

– Okay, okay. Damy radę – powtórzył Stavros i wstał z pytaniem: – Coś jeszcze?

– Nie, idź sobie – pogonił go Erin. – Tylko pamiętaj – dodał i zacytował: – Wielki Plan nie potrzebuje kruchych jednostek. Wielki Plan stoi siłą jego pracowników i mądrością jego przywódców.

– Wielki Plan stoi mi wielkim chujem – cicho skomentował Stavros i wyszedł.

Po pracy zarządcy ruszali do baru na piwo lub dwa, a potem zamykali się w pokojach otoczeni luksusem, jakiego nikt na niższych poziomach i w mieście już nie mógł doświadczyć. Mieli wszystko, czego pragnęli: wysokiej klasy sprzęt, najlepsze jedzenie, używki i dostęp do serwerów w Oklahomie z całą zebraną w nich twórczością człowieka. Tylko wolność odbierał im kordon trzech taktycznych dywizji sił DARPA rozmieszczonych wokół hali. Ta niedogodność była jednak niczym w porównaniu z warunkami, jakie towarzyszyły zwykłym robotnikom w zatoce. Ich dzień zaczynał się i kończył w prowizorycznych barakach, a życie płynęło pod znakiem wiecznej optymalizacji pracy, by wyrobić nieosiągalne normy. Adekwatnie do zajmowanych stanowisk pracownicy otrzymywali inne posiłki, mieli inne przerwy, a nawet inną ochronę zgodną z hierarchią, którą wyznaczał Wielki Plan wartością jednostki przeliczaną na wkład w budowę Floty.

Trzy dni przed egzekucją

O siódmej rano długie korowody ubranych na biało pracowników zastępowały nocną zmianę. W przerażającej ciszy sznury ludzi rozpryskiwały się po całej powierzchni, stając odłamkami każdy przy swoim stanowisku. Ich zadania jednak nie były tak proste i repetytywne, jak przy budowie innych okrętów, które celowo upraszczano do seryjnej produkcji. Na „Santlite 75” robotnicy musieli zainstalować ponad dwanaście tysięcy kilometrów kabli, a samych paneli kontrolnych do wytworzenia czekało osiemdziesiąt tysięcy. Według najnowszych wyliczeń pięciowarstwowe poszycie statku składało się z 19 460 442 elementów, z których ponad połowa wymagała indywidualnych schematów i podobno Erin miał w głowie je wszystkie. Każdego ranka stawał nad zatoką i obserwował mrówczy ruch pracowników, doskonale wiedząc, kto za co był odpowiedzialny. Potrafił dostrzec nawet pojedyncze osoby w niewłaściwym miejscu, w złym czasie, błędnie wykonujące swoje zadania. Jednak za ten dar doskonałej pamięci i geniusz teoretycznej inżynierii zapłacił kompletną bezradnością w obliczu zwykłych ludzkich problemów.

Dla zarządców dzień rozpoczynał się spotkaniem strategicznym, na które Erin przychodził z kanapką wypchaną po brzegi warzywami, serkami i szynką. Mężczyźni zdążyli już zaakceptować mlaskanie jako nieodzowną część raportów. Niektórzy sami zaczęli przynosić jedzenie do sali, absurdalnie zamieniając spotkania we wspólny posiłek poza przeznaczoną do tego jadalnią. Po omówieniu wszystkich kwestii zespół ruszał na niższe piętra, by rozdzielić zadania w podległych sobie grupach specjalistów. Erin natomiast chował się w biurze, gdzie rysował, najczęściej ręcznie, techniczne plany kolejnych elementów okrętu i rozwiązywał problemy konstrukcyjne. Zamknięty w prawie pustej, ogołoconej z mebli przestrzeni, przy wielkim, skierowanym w stronę okna biurku wertował papiery i mówił do siebie. Prowadził długie dyskusje z podziałem na role, czasami dwie, trzy, a niekiedy cały chór. Tak pochłonięty projektem spędzał kolejne dni, gniewnym spojrzeniem atakując każdego, kto śmiałby mu przeszkodzić w pracy. Dziś na złość już z samego rana naraził się Solom, wchodząc bez zapowiedzi do pokoju. Nie zgłaszał przy drzwiach swojej obecności, bo Erin nigdy nie odpowiadał, licząc na to, że zainteresowany szybko zrezygnuje.

– Nad czym dziś pracujesz? – zapytał zarządca, ignorując niezadowolenie z najścia przełożonego.

– Windy. Próbuję je zmieścić na okręcie.

– Jest szansa?

– Szansa? – Erin nie rozumiał tego słowa. – Będziemy musieli otoczyć je warstwą materiału blokującego prądy grawitacyjne, ale nie wiemy jak grubą, bo nikt tego nie testował – rzekł, stukając archaicznym ołówkiem o blat stołu, którego interaktywnych funkcji chyba nigdy nie uruchomił. Wszystkie obliczenia wołał robić w pamięci lub w przypadku tych wyjątkowo skomplikowanych zlecać je innym.

– Czyli już są problemy – podsumował Solom i zawisł nad biurkiem, rzucając na nie cień. Nie było dla niego fotela, dlatego jak zawsze musiał sterczeć niczym petent w urzędzie. – Słuchaj, Erin. Dostaję raporty z zatoki, że plan zadań się rozsypuje, bo nowi nie wyrabiają – mówił do pobłyskującej łysiny na głowie głównego zarządcy. – Musimy zwolnić, wiesz, dać im czas na dostosowanie się i przeszkolenie, bo inaczej to się źle skończy – przekonywał, z rozczarowaniem obserwując coraz mocniej wygięte w łuk plecy dorosłego mężczyzny, który jak dziecko próbował zniknąć z pola widzenia w natłoku papierów na biurku. – Erin, przerwij na chwilę. To poważna sprawa – poprosił

Solom. – Zadań jest coraz więcej, i to trudnych, nowych, do których trzeba się przygotować, przeszkolić ludzi, nawet kierowników. Ja nie narzekam. Ja cię ostrzegam, że z tego mogą wyjść poważne problemy. Słuchasz mnie w ogóle? – spróbował odkleić go od blatu.

W akcie kapitulacji Erin odłożył ołówek i podniósł głowę, chcąc wzrokiem przepędzić zarządcę ze swojego biura.

– Co chcesz, żebym zrobił? – zapytał i oparł się w fotelu, nieprzyjemnym skrzypieniem metalu wypełniając pomieszczenie.

– Zwolnij – doradził Solom.

– Zwolnij? Mam zwolnić? Kogo mam zwolnić, żebyś zrozumiał, że tu terminy to nie coś, co możemy sobie przesuwać do woli – mówił pobudzony Erin, nie kryjąc złości, którą zawsze wyładowywał bez oporów na swoim najbardziej zaufanym zarządcy. – Jeśli zwolnimy, to okręt nie powstanie, a jak nie powstanie, to wszyscy zginiemy. Proste.

– Jak ludzie się wykończą, to okręt też nie powstanie.

– To znajdziemy następnych.

– Erin, tak nie można – błagał Solom głosem wszystkich wykończonych pracowników w hali. – Wiesz, że ludzie zaczynają przyrównywać cię do Wiggera Andersa? Mówią, że chcesz tu wprowadzić obozy pracy jak w Europie.

– Nic na to nie poradzę. Niech mówią, co chcą.

– Wiem, że to nie to samo, bo nikt tu ludziom nie przystawia broni do głów, ale te ciągłe naciski i zwiększanie tempa... Erin, pomyśl o tym, proszę – powtórzył Solom, zabierając papiery sprzed oczu zarządcy, który znów zaczynał się nimi interesować, uciekając od rozmowy.

– Ja nikogo nie naciskam. To Aldon i jego ludzie. Nie mam na nich wpływu – tłumaczył Erin, jak pokrzywdzone dziecko – a o Europie mi nie mów, bo daleko nam do nich.

– Daleko czy nie, to nie jest dobra droga. Erin, przecież ty tu dowodzisz. Rozmawiałeś z nim?

– Ja tu tylko próbuję zbudować okręt. Nie prosiłem o żołnierzy ani o krótkie terminy. Nic nie poradzę.

– Możesz negocjować. Daj ludziom coś w zamian – Solom szukał wyjścia z sytuacji. – Masz prawo wymagać od nich ciężkiej pracy, ale jednocześnie powinieneś im pokazać, że doceniasz ich wkład w budowę i robisz wszystko, by im pomóc. Oni tego nie widzą, bo siedzisz całe dnie w biurze, a jak już wyjdiesz, to kontrolujesz tylko ich robotę i traktujesz jak maszyny albo duchy – otwarcie go krytykował, stawiając zaciśnięte pięści na blacie stołu w formie ostrzeżenia przed konsekwencjami kontynuowania tych praktyk.

– Ty im to powiedz. Wiesz przecież, że ja się do tego nie nadaję – wyznał Erin z błagalnym spojrzeniem zbitego psa.

– Okay, jak chcesz – Solom ustąpił i zabrał ręce z bagna papierów na biurku, po raz kolejny uzmysławiając sobie, że nie jest w stanie wpłynąć na sześćdziesięcioletniego mężczyznę. Wciąż miał jednak nadzieję, że chociaż wzbudzi w nim wolę walki, dlatego jak nieraz już postanowił ubrać w słowa to, co leżało mu na sercu. Był szczerzy i uczciwy do bólu, bo dobro ogółu cenil ponad własny wizerunek. Za to go szanowali i nienawidzili, ale zawsze słuchali. – Pamiętaj tylko, że czasy się zmieniły – powiedział, zawirowaniem chłodnych słów wywołując ciarki na ciele Erina. – To już nie jest 2112 rok, kiedy ludzie przystępowali do odbudowy miast pełni energii i zapału. Wtedy było jasne, że po tragedii wszyscy muszą ciężko pracować i nie oczekiwać nagrody. Nikt nie musiał ich namawiać i im tego wyjaśniać, dlatego Nowy Jork i inne duże miasta tak szybko podniosły się z gruzów. Teraz, kiedy minęło już prawie dwadzieścia lat od startu Wielkiego Planu, ludzie zaczynają rozumieć, że tych okrętów to oni nie budują dla siebie, tylko dla przyszłego pokolenia. Zderzając się z taką rzeczywistością, można łatwo stracić nadzieję i chęć do pracy. Nie mówię, że jest na to jakieś łatwe rozwiązanie, ale słowa nie kosztują, a zwykle docenienie ludzi może przynieść niebywałe efekty. Nikt nie oczekuje od nas cudów, ale powinniśmy chociaż zrobić to, co możemy.

– Zróbmy więc, co możemy – odpowiedział główny zarządca, miażdżąc starania Soloma, który jak przebity ostrzem odrzucenia odwrócił się i ruszył do wyjścia. – Myślisz, że nie wiem, jakie są realia?! – krzyknął mu w plecy Erin. – Nie jestem głupi i wiem, jak cholernie świat jest pogmatwany. Wiem, co się dzieje w Europie, i wiem, że nas to też czeka, i nic na to nie poradzę! Nic! – wołał, słowami próbując zdrapać z własnego sumienia poniżające rozczarowanie podwładnego. Chciał jeszcze coś dodać, czując, że wypowiedziane zdania nie odzwierciedlały w pełni jego myśli, ale było już za późno. Został sam ze sztormem nagle wzbudzonych emocji, które raz rozkołysane napędzwały się w

nieskończone wewnętrzne dyskusje. Dręczyły go same sobie stawiane zarzuty, niepewna wina, żal i złość, a czas płynął, powoli zrównując wzburzone fale w gładką taflę obojętności. Pół godziny później, gdy wreszcie osiągnął równowagę i mógł skupić myśli na pracy, do biura weszła kolejna niezapowiedziana osoba.

To był major Wasiv Aldon, dowódca ochrony hali, ubrany w czarne, na kant wyprasowane spodnie i śnieżnobiałą koszulę z kołnierzykiem. Na prośbę Erina on i jego żołnierze ochraniający budynek nie nosili oficjalnych mundurów, tylko zwykłe ubrania, jak reszta zarządców. Nie zmieniało to oczywiście faktu, że na zewnątrz stacjonowały kilkutyśne siły DARPA gotowe w każdej chwili utopić we krwi i zdeptać najmniejszy przejaw buntu.

– Panie Anders – mówił dwudziestoosmioletni fanatyczny oficer DARPA o delikatnej twarzy, która jak niewinna maska skrywała bezlitosną brutalność. Wygolony do gładkiej skóry i równo przystrzyżony, budził nieświadomy niepokój, bo zupełnie nie pasował do niechlujnych, zapuszczonych pracowników zatoki czy niedbających o wygląd zarządców. – Jedna z pana pracownic publicznie podważyła sens całego projektu, a gdy zwrócono jej na to uwagę, cóż, kobieta oszalała – poinformował z kamienną miną przykładowego żołnierza.

– Jak to oszalała? – zapytał Erin.

– Nie jestem lekarzem, nie wnिकam. W każdym razie dziewczyna wywołała incydent na oczach innych pracowników. Panie Anders, bardzo proszę wprowadzić porządek w hali. Jeśli coś takiego się powtórzy, będę zmuszony zająć się sprawą osobiście. Przekazałem już tę osobę, zgodnie z naszymi ustaleniami, pana pracownikom odpowiedzialnym za kadry – powiedział Aldon, a każde słowo przesadnie akcentował w innej tonacji. Fałszywym śpiewem chciał przykryć śmiertelną groźbę. Był sztuczny i odpychający, przerysowany i jakby wykąpany w nienawiści emanującej odrażającym odorem z jego irytującej ogłady.

– Ale dlaczego pan mi to mówi?

– Bo to nie pierwszy przypadek. Proszę porozmawiać z pańskim personelem i załatwić sprawę. Miłego dnia – zakończył nieszczerą uprzejmością oficer, skinął głową i zawrócił na pięcie z zadowoleniem udanej reprimendy.

Erin miał ochotę coś krzyknąć, zawołać, pokazać, że się nie boi, ale doświadczenie wieku powstrzymało go przed wybuchem. Słyszał już wiele historii o Aldonie, jego szaleństwie i barbarzyństwie, więc zacisnął zęby, odczekał chwilę i wyszedł z intencją, by osobiście rozwiązać dziś choć jeden problem. Zjechał windą do zatoki i oblepiony oczyma pracowników ruszył w stronę pokoi rekreacyjnych, gdzie każda zmiana mogła spędzić dziennie piętnaście minut na czynnościach innych niż praca. Z reguły wszyscy od razu padali na ustawione pod ścianą prycze, próbując złapać oddech przed powrotem do zadań. Erin minął straszące kurzem konsole do gier, nigdy nieużywane rowery stacjonarne, przykryty płachtą materiał stoł bilardowy i ruszył prosto w stronę Soloma i siedzącej na łóżku dziewczyny.

Nazywała się Béatrice, miała dwadzieścia jeden lat, krótkie, czarne włosy naturalnie otulające twarz, duże oczy o fioletowej poświacie źrenic oraz wymieszaną urodę rosyjsko-japońską. Ewidentnie pochodziła z wielokulturowej rodziny i bez wątplenia uśmiechem mogłaby rozświetlić najmroczniejszą otchłań kosmosu. Lecz nie dziś, nie teraz, nie kiedy smutek i strach oplatały halę, jak pnącza stare ruiny. Chuda i mała siedziała na krawędzi pryczy, bezruchem próbując zniknąć z powierzchni rzeczywistości.

– Powiedziała cokolwiek? – zapytał Erin zarządcę.

– Tłumaczyła coś, ale... – powiedział Solom wyjątkowo zakłopotany. – Musisz sam ją spytać – zasugerował i stanął obok bezradny.

Erin najpierw pochylił się nad pracownicą, szukając z nią kontaktu, a potem klęknął i długo dobierał słowa.

– Pracujesz w zatoce? – zapytał, nie mając pojęcia, dokąd zmierza.

– Tak – dziewczyna cichutko odpowiedziała, wpatrzona we własne kolana i schowana w forcie skulonych ramion.

– Na jakim stanowisku?

– Składam sieci płyt sterowniczych.

– Składasz płyty? – powtórzył Erin, nie słysząc jej ledwo wypychanych z ust słów. Wygiął się nieprzyjemnie nad nią i zamarł w bezruchu w obawie, że najmniejszym drgnięciem skruszy dziewczynę, jak taflę cienkiego szkła. – Powiesz mi, co się stało? – zapytał szeptem.

– Ja nie chciałam. To on mnie sprowokował. Ja tylko powiedziałam, że jestem zmęczona i że nie potrafię pracować, kiedy stoi za mną żołnierz, i on to usłyszał – opowiadała Béatrice, a jej słowa płynęły jak rzeka, zlewając się w jeden potok krótkich, nerwowo wydychanych zdań. – Przeprosiłam go głośno, by wszyscy usłyszeli, ale on mnie złapał za rękę i powiedział, że takich buntowników jak ja rozstrzelują. Wyrwałam się. Krzyknęłam, by mnie zostawił. Głupio powiedziałam też, że nienawidzę takich jak on, ale zaraz przeprosiłam go znowu, tak głośno, żeby nie było, ale on, on... – podnosiła głos, zaciskając pięści na kolanach i zanurzając się głębiej w zadartych ramionach. – Przepraszam! To było złe, poniosło mnie, nie chciałam! Proszę nie zmniejszać mi racji żywnościowej! – krzyknęła, fioletem nagle wynurzonych z oceanu łez oczu wywracając głównego zarządcę na plecy.

Jak wstydem palony Erin błyskawicznie wstał i chwycił Soloma pod ramię, odciągając go na bok.

– Czy my zmniejszamy racje żywnościowe naszym pracownikom? – zapytał wciąż roztrzęsiony, wręcz przerażony.

– Nie, na pewno nie – sprostował mężczyzna. – Ona jest z Europy. Mieszkała w Kalisto w czasie Błękitnej rewolucji i możliwe, że była ofiarą represji władz. Może jej się pomyliły czasy i zdarzenia.

– Myślisz? To było dość dawno. Mogła mieć z piętnaście lat wtedy.

– Nie wiem, Erin – odparł zmęczonym głosem Solom. – To jej historia, zapytaj ją. Proszę, przemyśl też sprawę na poważnie, bo to nie może się powtórzyć.

– Tak, tak. Już mi o tym przypominał Aldon.

– To tym bardziej nie może się powtórzyć.

– Tak, pomyślę o tym. Dajmy jej wolne do końca dnia. Jutro z nią porozmawiam i zobaczę, co z tym zrobić.

– Jak chcesz – odpowiedział Solom bez wiary w obietnice swojego przełożonego. Podszedł do dziewczyny, która potakiwała głową na każde jego słowo, choć jej oczy zdradzały, że wcale nie słuchała. Gdy skończył, szybko podniosła się, ukloniła, podziękowała i uciekła spłoszona jak sarna w lesie.

Resztę dnia Erin spędził, biegając między pokojami dyrektorów, ciężkimi oddechami mierząc długie korytarze. Nienawidził rozwiązywania problemów logistycznych i kadrowych, a te, jak na złość, uwielbiały wyrastać nagle i grupami, niczym chwasty na polu. Do tego za każdym razem, gdy postęp zadań zwalniał, na karku czuł oddech strażników i szpiegów Aldona, którzy tylko węszyli po kątach, szukając soczystych donosów. Erin zjadł obiad w pośpiechu na korytarzu i w drodze do kolejnego biura, a o kolacji w ogóle zapomniał. Nigdy nie miał też czasu zadbać o właściwą higienę, więc kładł się i wstawał nieogolony, skropiony tylko wodą prysznicą, niemal jak bezdomny. Nikt tu jednak nie zwracał uwagi na wygląd, poza oficerami ochrony, którym dni płynęły wolno pod znakiem grania w karty i terroryzowania robotników. O 19.00 praca Erina dobiegła końca. Jeszcze tylko spotkanie podsumowujące, chwila na tarasie i wreszcie spokój. Dzień się skończył i nastała cisza nocna. Erin uciekł do siebie, wziął kilka czerwonych tabletek na dobry sen i niebieskich na okropne myśli, pomasaował chwilę obolałe nogi i zniknął pod pościelą. Wdychał ciemność jak truciznę z nadzieją, że zdławi w nim życie na parę godzin.

Dwa dni przed egzekucją

Erin miał swój poranny rytuał. Zaczynał od krótkiej gimnastyki, którą traktował jak lek na całe zło, i toalety, by zmyć z twarzy zmęczenie. Potem szukał czystej koszuli, a przed wyjściem zawsze spoglądał w odbicie w lustrze. Patrzył sobie w oczy, głęboko i długo, by sprawdzić, czy wciąż jest człowiekiem, czy może już bezdusznym potworem. Następnie szedł na spotkanie strategiczne, po drodze zahaczając o jadłodajnię, i wreszcie zasiadał do właściwej pracy w biurze. Jak co dzień, prowadzony przyzwyczajeniem, zapomniał o spotkaniu z Béatrice, na które wczoraj tak nalegał. Koniecznie chciał z nią porozmawiać, bo choć znał historię Błękitnej rewolucji, to tylko w wersji oficjalnej władz i legend rozprowadzanych transferami pracowników. Teraz, gdy tylko Solom przypominał mu o dziewczynie, miał okazję wysłuchać zeznań naocznego świadka. Kulejąc i ciągnąc za sobą zmęczone od wczoraj nogi, wrócił do swojego pokoju.

Béatrice już na niego czekała, siedząc w wygodnym fotelu na korytarzu przed drzwiami. Z otwartymi ustami rozglądała się po ciepłych, naturalnie oświetlonych ścianach i meblach, które w nauczaniu Wielkiego Planu były ogromnym marnotrawstwem. Erin przywitał ją błyskiem uśmiechu i

otworzył pokój, ruszając od razu w stronę kuchennego automatu. Duszkiem wypił pierwszą szklanę wody.

– Chcesz coś do picia? – zapytał zdyszany pośpiechem.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała dziewczyna. Nadal tkwiła przy drzwiach, wpatrzona w potężne jezioro za ogromną szklaną ścianą.

– Podoba ci się ten widok?

– Tak.

– Wiesz, dlaczego ta hala stoi właśnie tu? – zapytał Erin i ręką zaprosił Béatrice na sofę ustawioną tak, by korzystając z jej wygód, móc w pełni podziwiać panoramę jeziora.

– Nie mam pojęcia.

– Bo urodziłem się niedaleko i za młodu pływałem w tym jeziorze prawie codziennie. Chodziłem do parku Shakespeare’a, pewnie nie kojarzysz, i tam z kolegami robiliśmy pikniki. Wiesz w ogóle kto to był Shakespeare? – zapytał Erin, obserwując, jak dziewczyna na polecenie siada we wskazanym miejscu. Robiła to z wyuczonego posłuszeństwa i bez cienia własnej woli, zajmując tylko skraj sofy, by nie zużywać na siebie komfortu mebla.

– Nie wiem – Béatrice odpowiedziała krótko i spokojnie, ostrożnie ważąc każde słowo, zanim wypuści je z ust. Była przerażona i zdławiona strachem przed wygodami, które od samego ich podziwiania mogły sprowadzić na nią represje.

– To taki pisarz, swego czasu dość znany – tłumaczył Erin bez wiary w sens tej dyskusji. – Może kojarzysz „Romeo i Julię”?

– Nie, niestety nie. Dawno nie czytałam żadnej książki – odparła dziewczyna z poczuciem winy, że nie spełnia oczekiwań zarządcy. Oczami, lecz nie ruszając głową, wędrowała po widocznej części pokoju, szukając znajomych obrazów, na których mogłaby skupić wzrok. Zdobione meble, wygodne i solidne, tak inne od tych w barakach, peszyły ją, wręcz przerażały obcością i czymś zakazanym. Bała się ich do tego stopnia, że drewnianych, błyszczących lakierem paneli w podłodze dotykała tylko czubkami palców u stóp.

– Nieważne. Słyszałem, że pochodzisz z Europy? – zapytał Erin i usiadł na drugim krańcu sofy, ostrożnie i uważnie, by drganiem nie spłoszyć dziewczyny.

– Tak, z Kalisto.

– Słyszałaś o Błękitnej rewolucji? – dociekał Erin, przez nieuwagę rozdmuchując po pokoju śladowe opary odwagi Béatrice, bez których pracownica zastygła w pozycji zbitego, winnego strasznej zbrodni psa. – Przepraszam – powiedział i zaczął tłumaczyć dziewczynie, po co ją do siebie zaprosił. – Posłuchaj, wezwałem cię tutaj, bo interesuje mnie temat wydarzeń z 2126 roku w Europie. Dużo słyszałem o tej rewolucji, ale to wszystko tylko plotki, a oficjalnymi doniesieniami nawet nie ma co sobie zawracać głowy. Te psy z DARPA karmią nas wszystkich tym samym ściąganiem. Nie chcę cię skrzywdzić, chcę tylko usłyszeć prawdę i nic więcej. Obiecuję, że nikomu o tej rozmowie nie powiem – zapewnił, czując, że mówi do ściany, pustej powłoki, ciała, z którego Wielki Plan wysłał krew, zastępując ją posłuszeństwem.

– Ja niewiele widziałam – Béatrice zaczęła pieśń prośb o wybaczenie. – Mama trzymała mnie w domu większość czasu. Poza tym niewiele pamiętam – odpychała wspomnienia, wyrzucając słowa jak fragmenty poszarpanej litanii przeprosin. Najprawdopodobniej wszystkim odpowiadała tą samą, wyuczoną regułką, poinstruowaną polityką Wielkiego Planu, by nic nie pamiętać, nie mówić, nie myśleć.

– Rozumiem, spokojnie, bez obaw. Przyleciałaś do Ameryki sama?

– Tak.

– A twoi rodzice, rodzeństwo?

– Przepraszam, nie chcę o tym mówić – załkała Béatrice i próbowała wstać.

Erin chwycił ją i przytrzymał w miejscu, choć zaraz puścił przerażony kościstym chłodem jej roztrzęsionego ciała. Do tej pory nie sądził, że dotykiem można poczuć zniszczenia, jakich dokonuje życie w wiecznym strachu. Jego ciekawość przerosła jednak wrażliwość. Zmienił więc podejście.

– Przecież wiesz, że mogę się tego sam dowiedzieć od oficera DARPA. Na pewno mają twoją historię. Mają nawet moją i każdego innego pracownika w hali. Nie wpuszczają tu terrorystów. Nie jesteś terrorystką, prawda? – zapytał, sugerując okropną odpowiedź.

– Nie! – krzyknęła Béatrice. – Proszę tego nie robić! Proszę ich nie wzywać! Oni zabili moją rodzinę i zabiją też mnie! – błagała, wybuchając lawiną łez.

Zmieszany dumą własnej skuteczności i obrzydzeniem do swojej okropności, Erin nie mógł się już wycofać.

– Spokojnie, nikogo nie wezwę, jeśli tylko usłyszę prawdę. Uspokój się i powiedz mi, jak to było – poprosił na w pół przyjaźnie, wciąż jednak grożąc. Celowo usiadł odrobinę bliżej.

– Ja nie brałam udziału w protestach i nie byłam terrorystką! – zaręczyła dziewczyna znów fioletem oczu, jak kolorowym wodospadem, wgniatając Erina w sofę. – Wołałam zostać w domu, ale moi bracia nie mogli się pogodzić z tym, że odwołano wakacje i wprowadzono nam przymusową pracę. Wyszli na ulice, ale nikomu nie robili nic złego. Na pewno nie mieli broni, jak potem nam wmawiano. Oni też nie byli terrorystami, ale i tak ich zabili i nawet ciała nie oddali! – wyrzucała z siebie wspomnienia, okaleczając się słowami jak żyłtkami. Próbowwała wstać, ale znów Erin ją przytrzymał, czując wychudzone patyki jej ramion, które mógłby złamać, gdyby tylko mocniej zacisnął dłoń.

– Spokojnie, poczekaj. A co się stało z twoimi rodzicami?

– Moi rodzice i ja nie wychodziliśmy z domu ani do pracy, ani do składów żywnościowych. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, i tylko słyszeliśmy historie, różne, straszne.

– Jakie historie?

– O rozstrzeliwaniach, o podkładaniu broni dzieciom, o torturach. Proszę mnie puścić! – krzyknęła Béatrice, tym razem agresywnie, wyszarpując ramię z uścisku. Wciąż jednak siedziała, przytrzymywana wyuczonym posłuszeństwem.

– Spokojnie. Jesteś bezpieczna – uspokajał dziewczynę Erin, odsuwając się na sofie na znak dobrych intencji. – Co się potem stało? – kolejnymi pytaniami pchał ją jednak w okrutną opowieść.

– Czekaliśmy, aż będzie bezpiecznie, a gdy walki się skończyły, do domu przyszli żołnierze i powiedzieli, że za pomaganie terrorystom obniżają nam racje żywnościowe. Potem i tak się okazało, że skoro nie chodziliśmy do pracy, to nam się jedzenie nie należy w ogóle. Mama była chora już wcześniej. Zmarła z wycieńczenia, tak myślę, a tata umarł niedługo później. Chodził szukać dla mnie jedzenia, ale w mieście wszędzie było wojsko, które dbało, by nic nie znalazł. Gdy poczuł się gorzej, próbowałam zabrać go do lekarza, ale że nie pracował już, to mu się opieka nie należała. Zmarł na ulicy – mechanicznie opowiadała Béatrice. Wypluwała zdania jak kadry fikcyjnego filmu, próbując odciąć myśli od tego, co mówi. To nie była jej historia, tak sobie wmawiała, tylko wymysł chorego umysłu.

– A ty? – zapytał roztrzęsiony Erin, wchłaniając potok słów, a wraz z nim lęk dziewczyny.

– Przydzielono mi łóżko w fabryce, a dom zburzono. Okazało się, że już dawno chcieli się go pozbyć, bo mieli postawić tam zbiornik retencyjny czy coś innego – kontynuowała Béatrice, a z każdym kolejnym słowem jej głos łagodniał, tracił surowość i zwalniał, jakby wyczerpała wszystkie pokłady strachu. Zanurzała się w katatonicznym stanie, bez emocji, bez życia, jak lalka pusta i nieświadomością szczęśliwa. – Gdy były transfery robotników, udało mi się zapisać na wyjazd do Ameryki i tak tu trafiłam.

– To okropne. Nie wiem co powiedzieć – Erin wykrztusił przez zdławione współczuciem gardło i daremnie szukał dla niej i siebie źródła pocieszenia.

– Mogę już iść czy ty też chcesz mnie zgwałcić?

Erin wstał, wyrwany z miejsca mocniejszym uderzeniem serca. Machnął ręką, by dać jej znać, że może wracać do pracy, a gdy usłyszał dźwięk zamykanych drzwi, opadł bez sił na sofę i zamarł. Patrzył w spokojną taflę wielkiego jeziora, które widziane z zewnątrz trwało niezmiennie od setek lat, lecz w środku powoli pęczniało pompowaną w nie trucizną.

– Mamy problem – oznajmił Solom, wchodząc do pokoju. – Słyszysz? – zapytał, stając przy sofie, wpatrzony w uśmiechniętą twarz głównego zarządcy nucącego coś pod nosem.

– Nie jestem nawet w połowie tym, kim byłem kiedyś – powiedział Erin i odpłynął pamięcią w odległą krainę młodości.

– Mieliśmy wypadek w zatoce – mówił Solom, próbując skupić uwagę przełożonego. – Osiemnaście osób jest rannych, ale nikt nie zginął. Spadł jeden z bloków nośnych – zgłosił sugerując, że to nie koniec złych wieści.

– Co? – Erin wrócił do rzeczywistości. – Jak to blok nośny?

– Zerwał się – powiedział Solom i na chwilę uciekł, budując niepotrzebnie napięcie. – Technicy podejrzewają, że główna kolumna kadłuba jest za słaba i przenosi drgania...

– Jak to? Skąd te wnioski? – przerwał mu z oburzeniem Erin i wyskoczył z sofy gotowy własnoręcznie ukarać winnego.

– Spokojnie, na razie jeszcze nie wiadomo. Jeśli jednak okaże się, że źle ją zaprojektowaliśmy, to będziemy musieli przemyśleć całą konstrukcję okrętu od nowa.

– Jak nie wiadomo, to po co mnie straszysz?! Idź i się dowiedz! – Erin krzyknął mu w twarz, uwalniając złość skumulowaną po rozmowie z Béatrice.

– Okay, spokojnie, zajmę się tym. Może to nic wielkiego, ale jeśli...

– To na co czekasz?

– Stavros cię szuka – powiedział Solom, ustępując głównemu zarządcy. Domyślał się, że to rozmowa z dziewczyną tak go rozjuszyła. – Mówi, że musi pilnie z tobą porozmawiać.

– Gdzie?

– Jest w swoim biurze.

Erin wyszedł z pokoju, jak wystrzelony z katapulty, rozgrzany, pobudzony, myśląc tylko o jednym. Chciał jak najszybciej rzucić się w wir prac i zapomnieć o rozmowie z Béatrice. Żałował, że pytał ją o szczegóły, a jeszcze bardziej żałował sposobu, w jaki to zrobił. W duszy nienawidził dziewczyny za jej bezradność i kompleks ofiary, cechy, które widział też w sobie. Tak jak ona był słaby, beznadziejny, zdany na łaskę żołnierzy, a do tego stary i tchórzliwy. Teraz, jak nigdy, czuł, że jego marzenie o budowie największego okrętu na świecie kosztowało go więcej, niż mógł zapłacić. Co gorsza, tysiące ludzi, a być może miliony pokładały w nim swoje nadzieje, składając życia los w zdławionym, zdeptanym, osaczonym przez żołnierzy, strachliwym starcu, który nie potrafił nawet przemaszerować korytarza bez palpacji serca.

– Jesteś – powiedział Stavros, gdy Erin wpadł do jego biura, zachowując się jak spłoszone zwierzę w obcym środowisku. Natychmiast wcisnął przełożonemu do rąk ogromny plik papierów, a uwolnione dłonie od razu przystawił do ust. Lubił obgryzać paznokcie, publicznie, bez skrupołów i wykonując przy tym niesamowite akrobacje, by usunąć nadmiar zrogowaciałego naskórka.

Erin stał bezmyślnie wpatrzony w grubą teczkę dokumentów. Nie pamiętał, jak tu dotarł, czy szedł piechotą całą drogę, czy skorzystał z windy. Pogrążony w pełnej narzekania, wewnętrznej dyskusji, zgubił ten wycinek dnia. Teraz automatycznie wertował kartki, próbując zatrzymać wzrok na konkretnym zdaniu.

– Co to jest? – zapytał. – Chciałeś o czymś porozmawiać? W ogóle, po co ktoś to wydrukował? – powiedział, próbując uporządkować myśli.

– Przeczytaj dwieście dwudziesty paragraf na trzydziestej trzeciej stronie – oznajmił zarządca i usiadł przy wielkim interaktywnym biurku, wciąż z dłonią niemal wsadzoną do ust. Teraz jeszcze podrygiwał nerwowo nogą. Nie potrafił ukryć stresu i nie pomógł mu nawet obraz zachodzącego Słońca wyświetlany na całej powierzchni ściany. Komputer sam go uruchomił zgodnie z programem mapującym emocje, który Stavros w wolnej chwili napisał, korzystając z testowanej technologii sterowania myślami.

Erin stał z plikiem kartek w rękach zdziwiony, że ktoś jeszcze oprócz niego używa tak archaicznych i kosztownych materiałów. Wertował dokument, próbując odnaleźć odpowiedni paragraf, a brak możliwości automatycznego wyszukania odpowiedniego miejsca irytował go dziś bardziej, niż powinien. W końcu jednak trafił gdzie trzeba i uważnie wzrokiem śledził tekst. Chwilę mruczał pod nosem, aż w końcu przeczytał na głos: – Oprogramowanie powinno umożliwiać zdalną i masową realizację celu, którym jest eliminacja nosicieli mundurów w sposób niezdradzający zewnętrznej ingerencji, to znaczy za pomocą usterek, błędów oprogramowania i pożądanym w mundurze systemów... – przerwał, bo poczuł ucisk w klatce i szybsze bicie serca. – Co to, kurwa, jest? – zapytał i spojrzał na milczącego Stavrosa, który błady na twarzy stukał nerwowo palcami o blat.

Erin czytał dalej, coraz głośniejszym i mocniej akcentującym zaskoczenie.

– System musi uniemożliwiać nieautoryzowane ściągnięcie munduru, a także tworzyć między mundurami sieć pozwalającą rozpoznać wszystkich członków załogi danego okrętu i wyeliminować ich jednocześnie w sytuacji takiej potrzeby, a także w sytuacji odkrycia przez nich działania ukrytego oprogramowania – skończył i dodał: – To jakiś żart?

– Nie. Wczoraj Aldon przyniósł mi te papiery i powiedział, że to specyfikacja mundurów – Stavros opowiadał z przerażeniem w oczach. – Dopiero teraz przebrnąłem przez nie i w większości są to normalne specyfikacje, ale to... – urwał, pokazując rozdygotanym obgryzionym palcem pakiet kartek

w rękach głównego zarządcy. – Oni chcą zainstalować w tych mundurach program do zabijania żołnierzy – powiedział, a słowa jak klej stanęły mu w gardle, odbierając mowę i spokojny oddech.

Erin usiadł na fotelu z drugiej strony wielkiego biurka. Spojrzał na gruby plik dokumentów, potem na twarz roztrzęsionego zarządcy, znów na własne ręce trzymające projekt narzędzia masowego mordy i zrozumiał, że to nie jest żart.

– Ale dlaczego na papierze? – zapytał, nie potrafiąc sformułować innego zdania zdolnego zawrzeć ogrom barbarzyństwa tej zbrodniczej architektury.

– Pewnie nie chcą, bym miał dowód, że taki rozkaz wydali. Wiesz, w komputerze mogę namierzyć pochodzenie wiadomości, poza tym jest uwierzytelnienie i szyfrowanie, a na papierze? Co z tym zrobię? Takie coś każdy może sobie wydrukować, jeśli znajdzie papier. Do tego ten Aldon, psychopata. On zabronił mi o tym mówić, ale pieprzyć go. Pieprzyć ich wszystkich. Nie będę im robił narzędzia masowej zagłady – zarzekł się Stavros i dalej próbował obgryzać zniszczone do krwi już paznokcie.

Zapadła cisza, którą zakłócało regularne stukanie o blat palców drugiej, równie obgryzionej, ręki zarządcy. Erin powrócił myślami do wspomnień Béatrice i jej okrutnej historii. Zadawał sobie kolejne pytania o to, jak nisko może upaść świat, jak obrzydliwy może być człowiek i gdzie jest granica pogardy istnieniem.

– Gdybym miał jakąkolwiek władzę w tej kwestii, gdybym miał cokolwiek do powiedzenia w tej hali – mówił do ściany, na której pełny księżyc rozjaśniał ciemną noc.

– To te gnoje w MRRG z własną armią myślą, że mają cały świat w kieszeni, skurwysyny – Stavros wtórował mu pustą mową w przestrzeń, jak gdyby każdy z nich był w innym pokoju. Siedzieli tuż obok siebie, ale dzieliła ich przeraźliwa samotność i znów ta zniechęcona, wlokąca się wszędzie za nimi bezradność.

– Może mają – wyjąkał bez emocji Erin i z pomrukiem zmęczenia wstał. – W każdym razie, kiedy świat stoczy się do rynsztoka, nas już prawdopodobnie nie będzie. Wracaj do pracy – polecił.

Stavros przerwał nerwowy tik stukania o blat i odprowadził zdezorientowanym wzrokiem głównego zarządcę do drzwi. Nie takich słów oczekiwał, nie ich potrzebował, ale też żadnych innych nie mógł usłyszeć. Obrócił się w fotelu w stronę ściany i jedną komendą myśli włączył grę. W tej prostej strzelance mógł wzrokiem i impulsami elektrycznymi mózgu zabijać bez chwili zawahania żołnierzy DARPA po trzech jednym strzałem z broni.

Wydrążony z wszelkiej woli, wyrwany z biegu dnia, wyniszczony doświadczeniami, Erin udał się na taras. Przygotował sobie martini, usiadł wygodnie w miękkim fotelu tuż przy barierce i włączył ulubioną muzykę. Stary klasyczny rock, o którym zapracowany świat już dawno zapomniał, zabrzmiał w powietrzu świeżością, pozwalając mu wreszcie odetchnąć.

Budowane windy pofrunęły w atmosferę, problemy zatonały w Michigan, a zatoka była wielkim parkietem pełnym roztańczonych młodych par. Erin rozpoczął wakacje. Ziemia znów lśniła rosą na zielonych liściach w parku nad jeziorem, gdzie unosił się zapach grillowanego kurczaka. Zewsząd dobiegały dźwięki zabawy, zaś Słońce niegroźnie głaaskało twarze dzieciaków z sąsiedztwa. Głos matki wołał go z daleka, tak słodki i delikatny jak zapach jabłeczniaka. Erin gonił i pędził, by go skosztować, spróbować, zanim wystygnie, a tafla jeziora wielkim lustrem oślepiła go, mamiąc chłodem czystej wody, namawiając do skoków i obiecując tajemnicę nieskończonej głębi.

– Tu jesteś. – Solom wkradł się do jego chwili niewinności.

– Nie, nie ma mnie tu – zaprzeczył Erin. – Jestem nad jeziorem, tam daleko – odparł z zamkniętymi oczami, pokazując palcem odległy punkt na horyzoncie.

– Ale wiesz, że to jezioro jest toksyczne?

– Nie jest. W moich czasach nie jest.

– No tak – burknął z uśmiechem Solom, siadając na czerwonej pufie obok przyjaciela i próbując jak on zatonać w dźwiękach gitary. Kojarzył utwór i ten zapętłony riff, słyszał go już wiele razy w pokoju zarządcy, ale nie rozumiał jego magii. Muzyka nigdy nie była dla niego, tak myślał. Wiązał ją z przywilejem bogatych lub raczej tych, którzy nie musieli pracować. On nigdy nie mógł sobie pozwolić na taką przyjemność.

Urodził się w biednej rodzinie w 2086 roku na południu Ameryki, gdzie kryzys wywołany zmianami gospodarczymi odebrał im wszystko, nawet dom. Pracował od najmłodszych lat, a potem walczył o swoją edukację, by ostatecznie zrezygnować z marzeń o karierze pilota i wziąć na siebie

odpowiedzialność za schorowanych rodziców. Nigdy jednak nie narzekał. Zdobył zawód w metalurgii trochę przypadkiem, a potem doszkolił się w dziedzinie osłon radiacyjnych i latami zdobywał niezbędne doświadczenie, by ostatecznie trafić do zespołu Erina i błyskawicznie zyskać sobie jego przyjaźń.

– Wiesz – rozpoczął opowieść Solom, wyciągając przed siebie nogi i tonąc w siedzisku ze sztucznego puchu. – W moim rodzinnym mieście też było jezioro, czyste jak łza i otoczone drzewami, całą ich masą w sumie. Tam zrobili jakąś piaskownię specjalnie dla nas. To znaczy nie dla nas, ale tak wtedy myśleliśmy. Wiesz, jak to dzieci mają. Usypali takie górki z piachu i skakaliśmy jak szaleni nieraz całutki dzień. Nic nas wtedy nie interesowało, poza dobrym skokiem oczywiście, żeby zrobić wrażenie na dziewczynach – mówił, a jego głos akompaniował nostalgicznej muzyce. – Była tam wspaniała dziewczyna – wyszeptał, słowami modelując jej sylwetkę.

– Znam cię już prawie trzy lata, a nie wiem nawet, gdzie się urodziłeś – przyznał Erin i spojrzał na rozmarzonego przyjaciela.

– Calera, to w Alabamie. Nic tam w zasadzie już nie zostało.

– Masz tam wspomnienia. To sporo.

– To fakt – zgodził się Solom i westchnął z delikatnym uśmiechem, który był jak ukłon w stronę świata zachowanego zakłębieniem pamięci.

– A twoja rodzina? – pytał Erin, nagle głodny szczegółów.

– Miałem dwóch braci i siostrę. Wszyscy rozjechali się po Ameryce i pracują gdzieś w halach, ale nie wiem, gdzie dokładnie. Nawet gdybym mógł ich odwiedzić, to nie miałbym jak – Solom zdradzał haniebną dla niego prawdę. – Niestety, cena przetrwania jest wysoka – stwierdził i zamilkł. Pozwolił muzyce wypełnić przestrzeń narastającą falą dźwięków. Te, napierając i nagle wypełniając cały taras, pchnęły Erina, by poruszyć temat gnębiący go od wyjścia z biura głównego programisty.

– MRRG chce, by Stavros wdrożył w projektowanych mundurach system do zabijania żołnierzy.

– Poważnie? Są aż takimi szaleńcami?! – krzyknął Solom i zapadł się głębiej w pufie od ciężaru obrzydzenia, które nim nagle targnęło.

– Szaleńcy nie działają z premedytacją. Oni chcą, by można było pozorować śmiertelne wypadki. Myślę, że raczej są psychopatami, którzy nie rozumieją, gdzie jest granica ich władzy.

– To przerażające...

– Stavros mi o tym powiedział – wyznawał ponurym głosem Erin – a ja nie wiedziałem, co zrobić. Patrzył na mnie tym błagalnym wzrokiem, wiesz, kogoś, kto oczekuje pomocy i ma prawo jej ode mnie wymagać, bo w końcu jestem liderem projektu, ale ja stchórzyłem, kazałem mu wrócić do pracy i wyszedłem.

– A co innego mogłeś zrobić?

– Nie wiem – powiedział Erin – ale powinienem móc coś zrobić – dodał, opuszczając głowę.

– A co na to Stavros? – zapytał Solom, zarażony okropną bezradnością, na którą nie było lekarstwa.

– Sprzeciwia się, wiadomo, jak to on. Mam tylko nadzieję, że nie robi nic głupiego.

– On nie jest głupi. Nienawidzi rządu i DARPA, ale nie będzie im się stawiał. Wykona zadanie. Jestem tego pewny, bo czytałem jego akta.

– Ja ich nigdy nie czytałem – stwierdził Erin i zastygł, rewidując cały swój system wartości. – Do tej pory uważałem, że najważniejsze są doświadczenie i umiejętności, a reszta to szum.

– Cóż, każdy ma coś na sumieniu. Wiedziałaś, że Stavros miał siostrę?

– Nigdy nic o niej nie mówił.

– To nie jest dziwne – stwierdził Solom. – Podobno jego rodzice zmarli tuż przed Kryzysem Słonecznym w jakimś niewyjaśnionym wypadku. Potem trafił do akademii, tak jak siostra, którą wydał DARPA za działalność spiskową. Nie wiem, jaką, ale to chyba bez znaczenia. Kiedyś go o to zapytałem i powiedział, że uciekła, ale dokąd i jak, tego już nie chciał zdradzić – opowiadał, sztywno wpatrzony w horyzont.

– Wydał własną siostrę?

– Tak było napisane w aktach – potwierdził Solom.

– Krwawe rewolucje, narzędzia masowych mordów, bracia wydający swoje rodzeństwo władzy i niewinność przemielona na posłuszeństwo w machinie ignorancji. W jakich my czasach żyjemy? – zapytał Erin, próbując jeszcze przez chwilę uciec do lasu nad brzegiem jeziora, gdzie echo dziecięcych zabaw unosiło się razem z ptakami.

– Nie wiem, Erin. W trudnych, okrutnych, bezsilnych – wymieniał Solom, nagle pobudzony. – Tyle ludzi już zginęło, tyle z nich bezsensownie, a wiele jeszcze umrze równie niepotrzebnie. To obrzydliwe, ale nic innego nam nie pozostało. Co możemy zrobić? Walczyć? Z kim i o co? To smutne, ale jedyne, co jest w naszych rękach, to budowa okrętu.

– Chcesz powiedzieć, że mam to po prostu zignorować?

– Na tym świecie nie ma już nic dobrego. Są tylko rzeczy skuteczne i marnotrawstwo. Możemy próbować walczyć z nimi, ale wtedy „Santlite 75” nie powstanie. Nawet jeśli wygramy, przegramy, rozumiesz?

– Wielki Plan – powiedział Erin, majestatem słów budując potęgę skrytej za tym określeniem hegemonii. W jej obliczu mógł jedynie polec, i choć serce podpowiadało mu, by walczyć na śmierć i życie, to rozum sugerował, by zapomnieć. Doskonale wiedział, że wybór jest fikcją. Nie było sensu kontynuować wątku i Solom też tak myślał.

– A dziewczyna? – zapytał zarządca, zmieniając temat.

– Mówiła, że w tej rewolucji zabijali uczniów, bo protestowali przeciwko zniesieniu wakacji.

– Coś o tym słyszałem.

– Kiedyś czytałem raporty z tego wydarzenia – wspominał Erin. – Podobno zginęło wtedy ponad cztery tysiące osób i według DARPA prawie wszyscy to byli terroryści. Tych, których nie mogli tak nazwać, określili mianem ofiar organizacji terrorystycznych. Nawet nie chciało im się wymyślić rozsądnych wyjaśnień – opowiadał, przypominając sobie o kieliszku martini w ręce. – Za absurd! – wygłosił ironiczny toast i wlał w siebie alkohol w nadziei, że pozwoli mu zapomnieć twarz zmalretowanej i zniszczonej dziewczyny.

– Myślę, że im już nie zależy – stwierdził Solom. – Nie teraz, kiedy mają już władzę w garści. Pewnie nawet chcieli, by ludzie poznali prawdę, bo strach to potężne narzędzie kontroli tłumów – argumentował – a że sieć już praktycznie nie działa, to plotki rozchodzą się od ust do ust i potęgują przerażenie. Ukaralesz ją? – nagle zapytał, ucinając echa śmiechu ganiających po plaży dzieci.

– Ja? – bezmyślnie zapytał lider, wyrwany z półsennych wspomnień. – Myślę, że historia już wystarczająco ukarała tę dziewczynę. Zresztą, nie ją jedną. Pewnie każdy w zatoce ma swoją tragiczną historię, której nikt nigdy nie usłyszy.

– Świat nigdy nie był sprawiedliwy, Erin.

– Tak, wiem.

– Dowiedziałeś się może chociaż, dlaczego tę rewolucję nazywają Błękitną? – dociekał Solom.

– Ciekawe, nie przyszło mi to do głowy. Muszę ją o to później zapytać.

– A co robimy z problemem słabej głównej kolumny?

– Nie wiem jeszcze – zbył problem Erin.

– A myślałeś o poprawie nastrojów w zatoce?

– Nie. Daj mi jeszcze trochę czasu.

– Czasu to akurat za wiele nie mamy – stwierdził Solom i podniósł się z pufy, prostując przy barierce plecy. – Dostaliśmy nietatwe zadanie, ale dlatego do dyspozycji mamy najlepszych specjalistów z całego świata, więc po prostu zrobmy to, co mamy zrobić – poprosił głównego zarządcę, ale Erin już popłynął myślami na brzeg jeziora, gdzie dzień był młody, twarze roześmiane, dorośli daleko, a on wciąż miał dwa małe palce u obu dłoni. Nigdy nikomu nie zdradził, jak je stracił, ale też nigdy nikt nie odważył się o to zapytać.

Resztę poranka Erin spędził na tarasie. Potem zamknął się w biurze, prowadząc grę w chowanego i celowo uciekając przed każdym, kto chciał z nim porozmawiać. Tak dotrwał do wieczoru i po raz pierwszy od lat zasnął bez tabletek.

Dzień przed egzekucją

Kompleks produkcyjny w Illinois był jednym z ostatnich wielkich osiągnięć architektonicznych na Ziemi. Obok wysokiej na trzysta metrów hali, w której trwała mozolna praca nad zaawansowanymi detalami, znajdowały się tarasy, gdzie ogromne maszyny przemieszczały jeszcze większe od siebie elementy budowanego okrętu. Ukończone konstrukcje wystrzeliwano na orbitę za pomocą kilku tysięcy minirakiet, które w powietrzu roiły się i tężały jęzorami białego ognia, dźwigając kompozytowe fragmenty.

Wokół kompleksu powstały farmy i pola z żywnością, otoczone wysokimi płotami i przykryte półprzezroczystym materiałem chroniącym je przed niszczycielskim działaniem Słońca. Cały teren oplatała sieć kolejek, którą tysiące osób co dzień podróżowało do pracy z baraków ustawionych za halą.

Erin obudził się z nieoczekiwaną dawką energii i od razu wpadł w rytm porannego rytuału: gimnastyka, toaleta, w drodze kanapki i spotkanie strategiczne, na którym zabrakło Stavrosa. Jego nieobecność nie dziwiła, bo często zasypiał lub celowo nie przychodził. Dziś i tak głowy wszystkich konstruktorów zajmował problem głównej kolumny kadłuba. Nagły kryzys, jak wspólny wróg, skupił uwagę zarządców i Erina, dla którego nieokreślona jeszcze wada była niczym ujma i wyzwanie. Dyskusje, badania i niemal detektywistyczne śledztwo, by uchwycić synergię zjawisk prowadzącą do osłabienia materiału, pochłonęły go do reszty, pożerając czas jak czarna dziura. Zamyślony i oddany teoretyzowaniu, wędrował korytarzami od biura do biura. Przy sobie miał próbki kompozytu, z którego powstawał „Santlite 75”, miniaturowy wydruk szkieletu okrętu i na szybko tworzone ręczne rysunki. Do trwającej w jego głowie debaty dołączył nagle obcy, szorstki głos.

– Major Wasiv Aldon chce z panem rozmawiać – powiedział żołnierz, jak mur wyrastając mu na drodze. Twarz miał zasłoniętą przyciemnianą maską, w dłoniach trzymał karabin, a obok stała jego odrobinę niższa kopia.

– To niech do mnie przyjdzie – odpowiedział Erin i ruszył między nimi prześwitem. Na drugą stronę nie dotarł, bo ognisty ból w brzuchu wypalił mu powietrze w płucach, oczy wypełniając łzami.

– Proszę z nami – grzecznie powiedział mężczyzna i podniósł zwiniętego w kłębek zarządcę jak worek brudnego prania.

Dalsza rozmowa nie była już potrzebna. Erin bezwiednie wisiał między żołnierzami, łapczywie chwytając oddechy, niesiony przez wszystkie poziomy hali wprost do pokoju przesłuchań w najbardziej wyeksponowanym miejscu zatoki. Każdy mógł zobaczyć, jak dynda komicznie z przyciśniętym do piersi modelem swojego wymarzonego okrętu. Nikt jednak nie zatrzymał na nim dłużej wzroku. Widocznie scena była codziennością niegodną uwagi lub też strach nie pozwalał robotnikom oderwać oczu od pracy.

To nie miało jednak znaczenia dla Erina, który w końcu stanął na własnych nogach przed drzwiami do pokoju sto jeden. Pchnięty przeleciał przez próg, a gdy odzyskał pion, zobaczył sadyistyczny uśmiech Aldona z wypisanym *a nie mówiłem* na twarzy.

Oficer siedział przy masywnym antycznym biurku z prawdziwego drewna. Ręką pokazał plastikowe krzesło na środku prawie pustego pomieszczenia.

– Dzień dobry panie Anders, proszę usiąść – powiedział i bezceremonialnym gestem ponaglił zarządcę, jakby w kolejce po nim miał do przesłuchania jeszcze kilkadziesiąt osób.

Erin, znów lekko pchnięty przez żołnierzy, podszedł do zmaltretowanego brudnego siedziska i spanikował na widok zaschniętej na nim krwi.

– Gdzie jest Stavros? – zapytał, odwracając się w stronę Aldona kierowany gorącym pragnieniem, by uciec wzrokiem od echa czyichś tortur.

– Tak jest, przejdźmy do rzeczy. Pański zarządca jest chwilowo zatrzymany – wyjaśniał major, uradowany szybkim postępowaniem spraw.

– Dlaczego?

– Nie chce pan usiąść? Ta rozmowa potrwa dłużej.

– Dlaczego?

– Dobrze więc – Aldon ustąpił. – Śpieszę tłumaczyć, że pan Kascadance nie wykonał rozkazu – mówił, kontrolując płynność i wyrazistość zdań bardziej niż ich treść. Ta arogancka dbałość o kulturę mowy i przesadna perfekcja odgrywanych gestów zawsze irytowały Erina. Teraz wręcz doprowadzały go do szału.

– Przecież on nie jest żołnierzem, tylko naukowcem. Nie możecie wydawać mu rozkazów!

– Pan Kascadance nie chce wykonać zadania powierzonego mu przez MRRG, a organ ten stanowi oficjalną władzę i ma pełen nadzór na tym projekcie. Dlatego Stavros został przesłuchany w sprawie domniemanego udziału w grupie terrorystycznej i ukarany.

– Czy wy powariowaliście?! Przecież on nic nie zrobił! – wydarł się Erin z młodzieńczą werwą, ale atak kaszlu szybko przypomniał mu o jego wieku.

– Panie Anders, niech się pan cieszy, że jeszcze jest pan wolny – sprowadzał go na ziemię Aldon z życzliwością altruisty. – Wiemy, że Stavros przekazał panu informacje o swoim zadaniu, choć dostał

wyraźny rozkaz, by tego nie robić. Pan tego nie zgłosił, a to budzi pytania o naturę pańskiej lojalności – powiedział poirytowany brakiem kultury gościa, który nie chciał skorzystać z przygotowanego dla niego miejsca.

– Czyli teraz jestem szpiegiem czy może już terrorystą?

– Fakt niezgłoszenia złamania przez niego rozkazu podchodzi pod niesubordynację, ale niestety nie zatrzymał się pan na tym. Musiał pan jeszcze zdradzić zawartość tajnych dokumentów swojemu pracownikowi. Panie Anders – zaakcentował Aldon, kołysząc się w skórzanym, czarnym fotelu – takie zachowanie budzi podejrzenia o najgorsze przestępstwo – zaśpiewał głosem i machnął ręką na swoich żołnierzy. Ci w kilku szybkich ruchach posadzili zarządcę na krzesło, składając go jak kartonowe pudełko.

– Co zrobiliście ze Stavrosem? – znów zapytał Erin, choć już ugiadzionym tonem. – Bez niego ten projekt stanie w miejscu. Potrzebuję go – dodał spokojnie.

– Weźmiemy pod uwagę wkład pana Kascadance'a w pracę zespołu. Jeśli tylko zechce wykonać zadanie, będzie mógł wrócić do siebie cały i zdrowy. Ewentualnie troszkę obity – zażartował officer i zaciągnął się władzą jak narkotykiem.

Erin spojrzał na zamaskowane twarze żołnierzy warujących po bokach, niczym wytresowane psy, gotowe skoczyć mu do gardła na pstryknięcie palcami. Potem zmierzył widoczne dla niego kąty pomieszczenia: czystego, schludnego, pustego. Od Aldona, jak mur, odgradzało go masywne biurko, a szczególną jego uwagę zwracała antyczna broń leżąca na blacie obok kubka z parującą kawą. Jej istnienie, cel i czarny matowy kolor zaprzętnęły myśli Erina.

– Jest pan bardzo inteligentnym człowiekiem – powiedział major. – Widać, że projekt nie mógł dostać lepszego zarządcy. Problem w tym, że jest pan zbyt wrażliwy. – Odchylił się w fotelu gotowy na dłuższy wywód.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał Erin już na granicy wycieńczenia niebosięzną nonszalancją mężczyzny.

– Chcesz przejść do rzeczy? Nie ma problemu – Aldon zmienił ton, urywając nagle śpiew. – Widzisz, ten okręt musi zostać skończony zgodnie z terminem. Ty masz go zbudować. My natomiast mamy to zagwarantować. To dopiero początek prac, a już widzimy sporo negatywnych sił, które opóźniają powstanie statku.

– To normalne, że na początku są problemy i opóźnienia.

– Chcesz mi mówić, co jest normalne? – szczerknął Aldon, ujawniając agresję psychopaty. Był jak szaleniec, którego leki przestawały działać, i jak morderca głodny kolejnej ofiary.

– Chcę tylko powiedzieć, że zatrzymując moich zarządców, utrudnicie mi pracę – Erin próbował koić budzącą się ze snu i nienasyconą bestię.

– No jasne, w końcu jesteście tylko psami z DARPA, prawda?

– Nie wiem, o czym mówisz – bąknął przerażony Erin, w myślach odtwarzając wszystkie swoje wypowiedzi, które teraz, jak wystrzelone w powietrze kule, spadały mu na głowę.

– Myślisz, że jesteśmy idiotami, że nie wiemy, co się dzieje w tej hali?! – Aldon atakował coraz ostrzej. – To my ją zaprojektowaliśmy i zrobiliśmy to tak, żeby każdy wasz ruch i słowo było w naszych archiwach – powiedział i szybkim gestem uruchomił na ścianie za swoimi plecami ekran, a na nim rozmowę głównego zarządcy z Béatrice. – My wiemy wszystko! My jesteśmy wszystkim! Myślałeś, że jeśli nie nosimy mundurów, to nie stanowimy zagrożenia?! – pieklił się z grymasem rozczarowania na twarzy i wstał, robiąc chwilę przerwy w przemowie, by odzyskać spokój i tę melodyjną karykaturę w głosie. – Stavros popełnił ogromny błąd. Chciał zniszczyć główny komputer hali i tym samym opóźnić powstanie okrętu. Słowem Stavros to sabotażysta i my takich zazwyczaj od razu eliminujemy, ale w przeciwieństwie do ciebie znamy realia. Wiemy, jak trudno znaleźć dobrego programistę, dlatego skrzywdzimy go tylko tyle, by mógł wciąż dla nas pracować. Objemy go trochę, pogrozimy, zamkniemy w pokoju i odbierzemy przywileje, ale kogoś musimy ukarać, prawda?

– Proszę bardzo, możecie mnie zamknąć, pobić i publicznie poniżyć. Nie zależy mi już – odpowiedział Erin, spluwając spojrzeniem.

– Nie, nie, nie. Ciebie ruszyć nie możemy, przynajmniej nie fizycznie. Dlatego ukarzymy bliską ci osobę, ale taką, która może ponieść pełny wymiar kary.

– Nie ma takiej osoby! Wszyscy są mi niezbedni!

– Nie wszyscy – poprawił go Aldon, chodząc po pomieszczeniu, jakby przekuwał agresję w ruch. – Solom Gatsbil na przykład, to bardzo ciekawa postać. Owszem, przykłada się do pracy i jest dość

bystry, ale myślę, że znajdziemy dla niego zastępstwo – stwierdził, w myślach już dobierając kandydatów.

Erin wstał, ale ciężkie łapy żołnierzy posadziły go z powrotem.

– Co chcecie z nim zrobić?! – zdenerwował się.

– Powiem ci, co zrobimy – przemówił Aldon i zatrzymał się w miejscu, po raz pierwszy prezentując swoją sylwetkę w pełnej krasie. Był ubrany w czarny mundur oficera, który wyraziście deklarował okrutną jego naturę, do tej pory świetnie maskowaną pod przykrywką białej klasycznej koszuli. – Od teraz DARPA będzie dbała o właściwą jakość prac w tej hali. Taki dostaliśmy rozkaz z góry. Koniec z pobłażaniem, koniec z pogaduszkami na tarasach. Do hali wejdą uzbrojeni strażnicy, którzy zadbają o postępy prac, a każdy przejaw sprzeciwu, niedbalstwa, buntu lub lenistwa będzie natychmiast karany. Osobiście o to zadbam. Dodatkowo, by wyraźnie zaznaczyć tę zmianę polityki, jutro w ramach pierwszej lekcji Solom Gatsbil zostanie publicznie osądzony za terroryzm, a następnie rozstrzelany.

– Ty skurwysynu! – wydarł się z całych sił Erin, przymocowany do krzesła łapami niewzruszonych żołnierzy.

– Ty i Stavros wróćcie do pracy – kontynuował Aldon – i grzecznie wykonacie swoje zadania, bo inaczej sprowadzę wasze rodziny i je także publicznie rozstrzelam. Zrozumiałeś? – zapytał znużonym głosem.

– Pierdol się! Możecie mnie zabić tu i teraz!

– Wrócisz teraz do biura i zajmiesz się swoimi obowiązkami – rozkazał oficer i spojrzał na żołnierzy, którzy równocześnie ustąpili, pozwalając zarządcy wyskoczyć z krzesła jak z bloku startowego.

Oślepiiony szalem i ogłuszony walącym sercem Erin doskoczył do biurka, chwycił leżącą na nim broń i wycelował najpierw w gończe psy Aldona, zatrzymane jego rozkazem, a potem w samego majora. Przystawiona do czoła lufa nie robiła na nim jednak większego wrażenia.

– Zabiję cię! – zagroził Erin, popychając go pistoletem.

– Widzisz, jesteś zbyt wrażliwy – odparł bez emocji oficer, jak gdyby całe szaleństwo w sali przeniosło się na Erina. – Myślisz o prawach człowieka, o sprawiedliwości i wydaje ci się, że one nadal mają wartość. Niestety, dziś już nic nie znaczą, bo kiedy świat dobiega końca, liczy się tylko jedno: przetrwanie. MRRG to rozumie, DARPA to rozumie, a ty dalej słuchasz dwudziestowiecznego rocka.

– Nie twoja sprawa, szczeniaku! – Erin pluł przez zaciśnięte zęby. – Wypuścisz Stavrosa, wyjdziemy stąd i pozwolisz nam odejść, albo cię zabiję!

– Nic nie rozumiesz. Nie wyjdiesz z tej hali do końca życia. Po to daliśmy ci te wszystkie luksusy, żebyś nam nie narzekał za bardzo, ale ty chciałbyś więcej. Chciałbyś ocalić wszystkich, nawet zwykłą dziewczynę z zatoki, której jedynym celem w życiu było produkowanie kabli czy co ona tam robiła.

– Nie mieszaj jej do tego – ostrzegał Erin, a pot zalewał mu dłoń, w której trzymany pistolet ciążył jak skała, wyslizgując się z uścisku tylko czterech sprawnych palców.

– Ja? Ja jej do niczego nie mieszałem. Za to ty musiałeś rozdrapać jej rany. Musiałeś ją doprowadzić do granicy wytrzymałości i pchnąć do tego okropieństwa.

– O czym ty mówisz?!

– Ona nie żyje – powiedział Aldon. – Powiesiła się wczoraj, niedługo po waszej małej pogawędce. Przykro mi – oświadczył z ohydny uśmiechem na parszywej gębie zbrodniarza.

Erin pociągnął za spust, ale zamiast usłyszeć odgłos wystrzału, poczuł kopnięcie prądu, które wyrwało mu pistolet z ręki i zamroziło w miejscu.

– Nie jesteś aż tak inteligentny – stwierdził major i schylił się po swoją broń. – Przecież wiesz, że nasze uzbrojenie posiada personalną aktywację i z obcej ręki nie wypali – tłumaczył jak dziecku, spoglądając na dwójkę posłusznych mu żołnierzy. – Nie sądziłem, chłopaki, że on też da się nabrać na ten numer – z humorem powiedział i wystrzelił w kolano Erina, powalając go z krzykiem bólu na ziemię. Przez chwilę stał, bezmyślnie słuchając płaczących jęków dorosłego mężczyzny. Gdy nacieszył oczy widokiem, odchrząknął, by przeczyścić gardło, i powiedział, zaczynając melodyjnie i z perfekcyjną dykcją, a kończąc z szalem rozjuszonego obłąkańca. – Panie Anders, koniec tej zabawy. Jutro, zaraz po egzekucji, zaprowadzę tu porządek, a pan wrócisz do swoich rysunków i spotkań, by zbudować nam największy okręt, jaki widziała Ziemia. A jak dobrze się sprawisz i będziesz grzeczny... to może pozwolę ci żyć, jebany śmieciu, i nigdy więcej nie celuj we mnie z mojej własnej broni!

